Kraków. 5-go Grudnia 1908 r.

Rok 4. Nr. 25.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 49 „Prawdy."

ZIMA.

Opadły zżółkłe z drzew gaju listeczki,
Ścieląc murawę warstwami swojemi,
Zwarzone mrozem przecudne kwiateczki,
Smutnie swe główki zwiesiły ku ziemi;
Błękity niebios znikły skryte chmurą,
Wiatr zimny, ostry, zaświszczał po lesie;
A w bożym świecie tak straszno, ponuro:
To zima idzie i śmierć z sobą niesie.
Nie brzęczą roje owadów w przestrzeni,
Nie słychać drobnych ptasząt świegotania,
W pięknych ogródkach nie widać zieleni,
Płowa powłoka naturę osłania;
Puchowych płatków tysiące miliony,
Sypie się, kręci, ulata i wije,
Czarnych przestrzeni zalega wygony,
To śnieg, co ziemię w całun śmierci kryje.
Za nim z północy skrzypiący, zsztywniały,
Idzie mróz, wody kryształąc swem tchnieniem
W uścisku jego świat martwieje cały,
I milkną twory zdjęte przerażeniem.
Ciągną w szlak długi ciemne kruków stada,
Czarne ich skrzydła w powietrzu szeleszczą,
Na stepie wilków zgłodniała gromada,
Wyje żałośnie swą pieśnią złowieszczą;
Naprózno biedne zziębnięte ptaszyny

Kłują po śniegu zrozpaczone głodem.
Nigdzie ni muszki, ni ziarna kruszyny,
Ni roślinności z swym ożywczym płodem,
O jeśli wtedy, drogie me dziateczki,
Przyfrunie ptaszek pod wasze okienka,
Rzućcie mu okruch chleba małuteczki,
I z darów bożych posypcie ziarenka.
Nie stawcie sideł podstępnie i zdradnie
Biednym, co od was pomocy żądają;
Wszak one proszą tak czule, tak ładnie,
Możnali zdradzać tych, którzy ufają?

BLIN.

(Z bajek ludowych norweskich).

Uwaga: Bliny piecze się na patelni z ciasta drożdżowego, albo z tartych, surowych kartofli. W niektórych stronach Polski nazywają bliny plackami, albo plindzami.

A teraz bajka:

Była sobie kobieta. Miała ona siedmioro głodnych dzieci. Upiekła im blin, a choć był z czarnej mąki, tak pięknie wyrósł na patelni, taki się zrobił pulchny, rumianiutki, że już od samego patrzenia przyjemnie się robiło. To też dzieciaki skupiły się dokoła pieca; nawet dziadek siedział i patrzał.

— Mamo! Daj mi spróbować blinka! Tak mi się jeść chce — powiedział jeden dzieciak.

— Miła mamo! — rzekł drugi.

— Miła, cudna mamo! — podchwycił trzeci.

— Miła, cudna, świetna mamo! — zawołał czwarty.

— Miła, cudna, świetna, dobra! — krzyknął piąty.

— Miła, cudna, świetna, dobra, droga! — przerwał szósty.

— Miła, cudna, świetna, dobra, droga, złota! — wrzasnął siódmy, i tak coraz tkliwiej na wyścigi prosili o kawałek blina. Dzieci były mądre i głodne.

— Dobrze, dziatki, dobrze! Poczekajcie tylko, aż się przewróci! — a powinnaby rzec: — aż póki go nie prze-

wrócę! — wtedy wszycy dostaniecie; o, patrzcie, jaki on pulchny, rumiany.

Lecz blin to wszystko słyszał, przeraził się, i nagle sam się przewrócił; chciał wyskoczyć z patelni, lecz — buch! klapnął znów na nią, a że trafił na ten sam bok, podpalił się trochę i stwardniał; mimo to wszystko wyskoczył na podłogę, i potoczył się jak koło na próg, z progu na drogę.

O, la Boga! Matka za blinem z patelnią w jednej ręce, z warząchwią w drugiej, dzieci za matką za próg, dziad nawet kuśtyk — kuśtyk za wszystkiemi.



— Trzymaj! Łapaj! — krzyczeli wszyscy w niebogłosy za blinem, a ten sobie spokojniutko toczył się i toczył, aż zniknął, ani śladu nie zostało; pewnie, że był raźniejszyod wszystkich.

Toczy się blin, toczy, aż tu spotyka chłopa.

— Witaj, blinku! — mówi chłop.

— Witaj, chłopie! — mówi blin.

— Miły blinku, nie śpiesz się, poczekaj! Pozwól, że cię zjem! — powiada chłop.

— Od baby uciekłem, od dziada uciekłem, od siedmiu krzykaczy uciekłem, to i od ciebie, chłopie, ucieknę — powiada blin, i potoczył się, potoczył.

Aż tu na spotkanie idzie kura.

— Witaj, blinku! — mówi kura.

— Witaj, kureczko-kwoczeczko! — mówi blin.

— Miły blinku, nie śpiesz się, poczekaj! Pozwól, że cię zjem! — powiada kura.

— Od baby uciekłem, od dziada uciekłem, od siedmiu krzykaczy uciekłem, od chłopa uciekłem, to od ciebie, kureczko-kwoczeczko, tembardziej ucieknę, i potoczył się, potoczył, jak strzała. Spotyka go kogut.

— Witaj, blinku! — mówi kogut.

— Witaj, kogutku-głupiutku! — mówi blin.

— Miły blinku, nie śpiesz się, poczekaj! Pozwól, że cię zjem! — powiada kogut.

— Od baby, dziada uciekłem! Od siedmiu krzykaczy uciekłem! Od chłopa, od kureczki-kwoczeczki uciekłem, to od ciebie, kogutku-głupiutku, tembardziej ucieknę!

I potoczył się, hej! potoczył ze wszystkich sił! Aż tu idzie kaczka.

— Witaj, blinku! mówi kaczka.

— Witaj, kaczeczko-tasieczko! — mówi blin.

— Miły blinku, nie śpiesz się, poczekaj! Pozwól, że cię zjem — powiada kaczka.

— Od baby, dziada uciekłem! Od siedmiu krzykaczy, od chłopa uciekłem! Od kureczki-kwoczeczki, od koguta-głupiuta uciekłem, to i od ciebie, kaczeczko-tasieczko, ucieknę!

I potoczył się, potoczył ze wszystkich sił. Spotyka go gęś.

— Witaj, blinku! — mówi gęś.

— Witaj, gąsko-trząsko! — mówi blin.

— Miły blinku, nie śpiesz się, poczekaj! Pozwól, że cię zjem — powiada gęś.

— Od baby uciekłem! od dziada uciekłem, od siedmiu krzykaczy uciekłem, od chłopa uciekłem, od kureczki-kwoczeczki uciekłem! Od koguta-głupiuta, od kaczeczki tasieczki uciekłem, to i od ciebie, gąsko-trząsko, ucieknę!

— I znów się toczy, znów toczy. Długo, długo się toczył. Naprzeciw idzie indyczka.

— Witaj, blinku! — mówi indyczka.

— Witaj, indyczko-języczko! — mówi blin.

— Miły blinku, nie śpiesz się, poczekaj, pozwól, że cię zjem! — powiada indyczka.

Roześmiał się blin i potoczył, potoczył ze wszystkich sił. Długo, długo się toczył, spotkał prosiaczka.

— Witaj, blinku! — powiedziało prosię.

— Witaj, prosiątko-świniątko! — mówi blin i toczy się, toczy.

— Czekaj! — woła prosiątko. — Gdzie ci się śpieszy! Idźmy wolniej, razem! Ze względu na blizki las, będzie bezpieczniej.



Prawda! blin się zgodził i wspólnie jęli wędrować. Idą sobie tedy, idą, aż tu strumyk. Prosiaczek buch! do wody, plusnęło, i ot już sobie płynie na sadełku, ale nasz blinek co zrobi?

— Siadaj mi na ryjku! — mówi prosiak — przewiozę cię!

Blin rozsiadł się szczęśliwie na ryjku.

— Mlask! Mlask! — klasknął prosiak i zmlaskał blin. Tak to zakończył żywot blin, ano i bajka.

O św. Mikołaju, Patronie dziatek.

(Uroczystość tego Świętego obchodzi Kościół 6-go grudnia.)

Dzisiaj od świtu — jak pewnie wiecie —
Swięty Mikołaj chodził po świecie;
Chodził od jednej do drugiej chatki,
I pytał: jak się sprawują dziatki?

A ja mu na to: — „Och, Mikołaju,
Dzieci tu u nas, jak kwiatków w raju,
Poczciwych, dobrych dziatek jest sporo,
Lecz i niegrzecznych mamy kilkoro.

— Ot, znam, naprzykład, w mieście leniuszka,
Co, gdy mu na nos usiądzie muszka,
Toż to dopiero kłopot i bieda,
Bo już nikomu spokoju nie da!

A inny znowu — nie powiem który —
Drze elementarz, plami skryptury
I w szkole psoci, niby koziołek.
Choć jest największy z wszystkich osiołek.

Jest i dziewczynka — trzpiotna okrutnie,
Z braćmi po całych dniach wiedzie kłótnie,
Lubi się stroić, kłamać rozumie,
Ale pacierza dobrze nie umie!“

Swięty Mikołaj pokiwał głową,
Bardzo się zmartwił i rzekł surowo:
„Dla takich dzieci nie ma ratunku,
Rózgę im dzisiaj dam w podarunku.“

A ja mu wtedy; „Swięty mój Panie,
Cóż też się takim dzieciom dostanie,
Co nie dokuczą nigdy nikomu
I są rodzicom pociechą w domu?

Bo mamy chłopców tu i dziewczynki,
Co takie lube, jak cherubinki,
Grzeczne, posłuszne pacierz umieją
A i książeczki już rozumieją.

Więc święty Biskup tak mię zagadnie:
„A umią one po polsku ładnie?
Bo kocham wszystkie dzieci na świecie,
Ale najmilsze mi polskie dziecię.“

Ja powiedziałem, że nasze żaczki
To wszystkie polskie, jak Krakowiaczki,
Po polsku mówią, po polsku czują
I polskie książki pilnie czytują.

Swięty Mikołaj pogładził brodę
I rzekł: „A, to mi zuchy są młode!
Takich ja lubię, a więc każdemu
Z tych podarunków daj po jednemu!“

Więc pójdźcie żywo kochane dziatki,
Od Mikołaja bierzcie swe datki.
Niechaj z was każde bierze radośnie
I na pociechę Ojczyznie rośnie!

Przykłady z dziejów Polski.

MARCIN KĄCKI.

Turek dzierżący dawno Podole z Kamieńcem musiał je wreszcie oddać, żal jednak było niewiernym pięknego Podola, żal warownego Kamieńca. Więc basza ich dowódzca oddając Marcinowi Kąckiemu Kamieniecką twierdzę, przyszedł z nim do lochu, gdzie leżały prochy, a pragnąc się zemścić, rzuca siarczysty lont na beczkę prochu. I byłby wysadził całe miasto w powietrze, tysiące ludzi, siebie i Kąckiego w gruzach zagrzebał. Ale Kącki chwycił żarzący się lont, położył go na dłoni i póty trzymał, dopóki całkiem nie zgorzał.

Patrzał Turek na mężnego Polaka, a ten mimo piekącego bólu nawet brwi nie zmarszczył, a odwagą i cierpliwością twierdzę i tysiące współrodaków narodowi ocalił.

Czerwona róża.

Piękna róża, jak śnieg biała,
U stóp krzyża Zbawcy stała;
Wielka żałość ją przejmuje,
Ciężką boleść w sobie czuje.

Główkę smutnie pochyliła,
Gdy z wzruszeniem obaczyła,
Jak złoczyńcy w srogiej chwili
Żółcią Pana jej poili.

Krwi kropelka z krzyża spada,
Na różyczce tej osiada,
Tak, że wszystka barwa biała
Naraz mocno zczerwieniała.

I różyczka ta kochana
Zapłonęła od krwi Pana.
Siostry jej od chwili owej
Mają kolor purpurowy.

Józef Chmielewski.

Gęś i wąż.

Pewna gąska pływa po stawie, a unosząc się nad przymiotami swemi, rzekła do siebie: „Jakieżto ze mnie stworzenie znakomite! Umiem nie tylko chodzić po ziemi, lecz pływam wybornie i latam również doskonale po powietrzu! Niechże mi tu stanie ptak podobny, któryby posiadał moje przymioty i zdolności!“

Jakiś wąż wygrzewający się nad brzegiem stawu, podsłuchał tych słów pochwalnych, i podpełzawszy bliżej, rzekł do zarozumiałej gąski: O głupia gąsko! Czyliż jesteś wstanie biegać jak sarna, pływać jak szczupak, latać jak orzeł? Nauczyłaś się niby wszystkiego potrosze, lecz niczego porządnie. Lepiej umieć mało a dobrze, niż dużo a źle. —